

Hugo Lathrey M-ek w listach
F. Lenartowicza.

1875
marzec

A. MICKIEWICZ

w listach T. Lenartowicza *).



Mickiewicz dotychczas nie doczekał się godnego siebie biografa, i zapewne jeszcze długo czekać będzie. Może to i dobrze. Sąd o wielkim człowieku zbyt doraźny i prędki nie bywa dokładny i sprawiedliwy — przedstawienie żywota bogatego i prawdziwie wspaniałego wolne być powinno od błędów i od usterek choćby najmniejszych. Prace Małeckiego i Tarnowskiego o Słowackim, choć on młodszy i później rozpoczął zawód, nie były przedwczesne, raz dla tego, że długie zapomnienie, a później nagły i powszechny zapał dla tego znakomitego poety wymagały ustanowienia i ustalenia słusznej o nim opinii, a powtóre z powodu szczęśliwego zbiegu okoliczności, które nastąpiły bardzo bogate źródła, przedewszystkiem całą korespondencją z matką, i pozwoliły dać dokładną i prawie wyczerpującą biografią.

Wiadomości, jakie mieliśmy o Mickiewiczu do niedawna były bardzo, a bardzo niedostateczne, nawet długi czas po śmierci, która przeszła prawie niepostrzeżona, bo każdy czuł, że Mickiewicz nie umarł, lecz jak żył, tak żyje i żyć będzie. Oprócz pięknego nekrologu Siemieńskiego, oprócz wspomnienia Wójcickiego i pamiętnika Bonawentury z Kochanowa (Potockiego), zawierającego rysy z pobytu Mickiewicza w Kownie, bardzo cie-

*) Teofila Lenartowicza Listy o A. Mickiewiczu. Paryż. Księgarnia Luxemburska 1875.

8832

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

http://pcin.org.pl

rzystwo otaczało go nieustannie, każdy pragnął pochłubić się, że mówił z nim, że był u niego, a mało kto go rozumiał. Byli tacy, co umyślnie po to przyjeżdżali do Paryża. Musiało go to potężnie nudzić i męczyć, toż bywał czasem nielitościwy i szorstki dla tych, których próżna ciekawość przywiodła.

Po roku 1848 pojawiło się u niego dwóch młodzieńców jak z igły:

— Skądże przyjeżdżacie? zapytał Mickiewicz.

— „A z kraju“ rzekli unisono.

— „A pocóżeście tu przyjechali?”

— „Na wywíczenie w języku,“

— „No nie źle... i cóż wam więcej mama poleciła?”

— „A to, żebyśmy pana Mickiewicza zobaczyli.

— I zobaczyliście...

— A tak...

— No to bywajcie zdrowi ¹⁾!

Nie zawsze jednak bywał tak surowy. Owszem często wobec młokosów, co przemawiali do niego jak do chłopca od košby: „Ty! Adamie!“ okazywał największą łagodność. „Adamie! czemuż nie jesz, jedz!“ zawołał jakiś młokos na święconem u księdza Terleckiego. „Bracie pamiętaj tam o sobie“ — odpowiedział Adam (do bliższych sobie zawsze mówił *ty*).

Ci, co są najdelikatniejsi a najwięcej może mają prawa do zbliżenia się, bywają najmniej natrętni i najmniej odważni. Lenartowicz przekonany, że Adam prób jego poetyckich nie czytał, prosił C. Norwida, żeby mu parę życzliwych słów o nim powiedział. Pierwszą swą wizytę tak opowiada autor:

„Całą noc przygotowywałem się do tej wizyty, i wyszedłem na tem co do słowa wedle wyrażenia poety:

Gdzie wiele przygotowań, tam nie z dyalogu.

Kiedym się znalazł wobec Adama, zapomniałem w gębie języka najkompletniej.

Mieszkaliście wówczas na l'Ouest, wprost bramy ogrodu Luxemburskiego; z początku maszerowałem odważnie, ale kiedy przyszło wejść do domu, uczułem nieco gorąca i pewną niespokojność; jedno z dzieci, zdaje mi się że nieboszczyk Oleś, pokazał mi schody na górę do pokoju ojca: *par ici!*

Wchodząc uczułem u nóg po sto funtów ołowiu. No bywaj zdrów, cóż ja tu jemu powiem! iść, nie iść, a przecież zobaczyć go muszę, choć aby raz w życiu. Zapukałem z nieśmiałością

¹⁾ Zdaje nam się, że tę anegdotę już gdzieś czytaliśmy. Opowiadała ją Lenartowiczowi jeden ze znajomych. Ktoś znowu twierdził, że ta anegdota kogo innego dotyczy. W każdym razie *si non e vero, e ben trovato*.

i czekałem odpowiedzi; ojciec widać był zajęty, bo nie prędko nastąpiła, a może i nie dosłyszał, tak uderzenie było lekkie. Za powtórnem usłyszałem kroki i Adam trzymając fajkę w rękę sam otworzył mi drzwi.

„Nie mam wyrazu na opisanie wrażenia, jakie mi sprawił. Widziałem Lelewela, Bohdana Zaleskiego, Seweryna Goszczyńskiego i tyle naszych wówczas jeszcze żyjących gwiazd, i nie straciłem odwagi, nie zapomniałem słowa, kiedy wobec Adama uczułem się tak ograniczony że ani raz... Chciałem coś górnio zagadać i wybelkotałem jakiś obrzydliwy frazes, za który byłbym się za ucho pociągnął, gdyby nie jego obecność. No, trudno; zakłopotanie moje spostrzegł ojciec i dobrotliwie wskazał mi miejsce obok siebie, tonem przychylnym zapytując:

— Skąd przychodzisz, bracie? z której części Polski?

— Ojciec mój był Litwinem, a ja rodem z Warszawy.

— A kiedy tak, to my i ziomkowie, uprzedził mnie Cyprian Norwid, że pracujesz i że poezye piszesz. Nie znam, ale chętnie przeczytam, bo już cię obchodzi mnie wszystko, co tam robicie w kraju. Cóż tam macie nowego?

Wymieniłem kilka nazwisk i kilka nowych dzieł świeżo wyszłych; niektóre przeglądał już, a imiona wszystkich autorów były mu znajome i z całą szczerością mówił o dziełach i osobach, nie szczędząc, co prawda, nazwisk i nie obwijając w bawełnę; o jednym mianowicie pisarzu dość mi się surowo wyraził. Mówił z przestankami, patrzył mi w oczy bystro i radą następującą rzecz zakończył: „Jeżeli chcesz wiedzieć moje zdanie, to ci powiem: wszyscy jesteście równi sobie, i tylko pod warunkiem, żeby każdy był sobą i orzeł nie nastrajał się na słowika, a słowik na orła. Głupcy i błazny zdolni są jedni lekceważenia tego, co w tej a nie w owej formie od Boga przychodzi. Kto mnie porównywa Rafaela z Wuwermańsem, albo Fidiasza z Robią, to mu powiem, że głupi; tak samo kto chce poniżyć Burusa dla tego, że Szekspir tragedye pisał; wszystko to są Boże piaki i tylko zielone głowy w porównania się wdają, w rozdawania honorów albo ich zaprzeczania; poezya była, jest i będzie do końca świata, a kto jej w jakiejkolwiek chwili przeczy, kto jej nie widzi, ten jest kret i głuchoniemy; pisz i niebój się, jeśli masz tylko serce pełne i szlachetną wolę.“

Po tych słowach, nałożył znowu fajkę i odrzucił w tył dobre już siwiejące włosy, i wtedy to ochłonawszy z pierwszego strachu, i owszem, cały radością przejęty, wpatrzyłem się w twarz Adama. Rysy jego wyrażały nieustającą burzę wewnętrzną, w milczeniu jego było coś jak w ciszy wielkiej chmury przed gromem; oczy małe szare, zdawały się nie rzucać spojrzeń, ale promienie przeszywające, ostre jak światło kamieni szlifowanych; w każdym zdaniu stanowczość, a w każdym ruchu swoboda; wdychał często dolną część ust zaciskał; w całej jego postaci było coś odęb-

nego od innych, coś, co nie mogło się dostroić, zszeregować z drugimi. „Ot bieda z Polską! Był u mnie K....., mój dawny znajomy i pyta: No cóż wieszczu, podobno miewasz wizye, to powiedzże, co znami będzie? A ja jemu na to: co z nami będzie? Oto tak będzie, że was Prusak za łeb złapie i z Polski wyrzuci, bo nie seryo nie robicie i wszystko się kończy na przeżuwanu niemieckich systemów i na podrzrywaniu; łatwo się dać zarznąć, ale z Niemca, Francuza, czy jakiego tam kosmopolity wyskoczyć Polakiem, hum...

„Bracie, powiadam ci, że tylko chłop u nas pracuje, a i ten w porównaniu z francuskim *ouvrierem* jeszcze szlachcic. Przyjrzyj się, zobaczysz.“

Adam westchnął, a kiedy nic nie mówił, uważał Lenartowicz, że należy nie zabierać mu czasu i odejść. Serdecznie uściśnął jego rękę, prosząc żeby go odwiedzał i adresu zażądał. Takie było pierwsze widzenie się jego z Adamem.

Drugi raz spotkał się Lenartowicz z Mickiewiczem na obiedzie u hr. Hermana Potockiego. Byli tam między innymi półkownik Niegolewski i syn jego Władysław. Po obiedzie rzekł Adam do Józefa Potockiego: „Szarża na działa pod Samo-Sierą udała się, ale z rozumem i chciwością niemiecką trudniejsze spotkanie Władysławowi, a *nota bene* że jest też hulańskie dziecko i nie potrafi agitować jak O'Connell, ale zawsze z lancą naprzód po rycersku i jakkolwiek adwokat nie po adwokacku. A Niemca nie przekonasz, chyba, że go, jak się wyrażał Kiliński, pięknie uciszysz.“

O Krasińskim powiedział Adam: „Zygmunt mnie nie dowierzał, miałem tego dowody w Rzymie. Nerwowy człowiek i drżący na myśl każdej próby; w powietrzu to ją rozumiał, ale na ziemi sprawiała mu rozstrój nerwowy. Wieszcz znakomity.“

Sztukę jako robotę artystyczną podziwiał, ale lekcewał: „Gdyby tę miłość, którą artyści wkładają w swoje obrazy, włożyli w społeczeństwo, mówił raz do Lenartowicza, bah! jakieżby to cuda historia zapisała.“ Innym razem patrząc na sławne drzwi Baptisterium we Florencji rzekł do Aleksandra Z: „Piękna to rzecz, ale Kościuszko robił piękniejsze.“

Nie lubił sztucznego naśladowania, a raczej przedrzeźniania natury. Raz wyszli do ogrodu, w którym Francuz właściciel porządkował grotty sztuczne: „Nie chodźmy tamtędy — rzekł, nie lubię tych głupstw. Natura jest wielką w wszystkim, co robi, i kiedy ją człowiek chce niewolniczo naśladować, robi karykaturę.“

Muzykę zwłaszcza Chopina lubił, ale od wykonawcy wiele wymagał; gra Fontany n. p. nie zachwycała go, ale gdy siadła do fortepianu księżna Marcelina, odezwał się: „To, to Chopen, księżna słucha go wciąż, pamięcią powraca do jego sposobu grania, a wielkich mistrzów inaczej grać nie można, jak przez

tradycje oralne. Nuty to są nuty, ale muzyka spoczywa w tym, kto te nuty czyta i zaraz widać, kto czyta A. B. C., a kto mówi mowę." Gdy Lanartowicz pokazał Mickiewiczowi list Szopena (list ten znajdzie czytelnik w książce) pisany w tonie wesołym i żartobliwym, rzekł tenże po przeczytaniu: O! to on! Najucieszniesz się, jaką znalazłem w świecie. Talent Garryka, dowcip warszawsko-francuski i jedno mnie tylko w nim nieprzyjemnie uderzyło: to zabawianie swoją osobą, figurek salonowych, z których żartował i miał racyą. Co to za romanse o nim teraz piszą i gadają; gdyby mu je był kto za życia przeczytał, otóżby był wystrychnął ze siebie karykaturę podług rysunku tych melomanów z przewróconem melancholicznie okiem! Polskiej matki dusza grała przez niego, śpiewała szlochając, a dusza ojca Francuza śmiała się na całe gardło, i to był Szopen."

Przed odjazdem do Włoch pospieszył Lanartowicz pożegnać się z Adamem: „No cóż powiesz? zagadnął go z jakąś jakby niechęcią, dawnośmy się nie widzieli.“

— „Nie miałem odwagi przyjść do pana, naprzykrzać mu się“ odpowiedział Teofil i coś jak łzy zakręciły mu się w oczach. Mickiewicz dojrzał to i natychmiast zmienił ton mowy.

— „No, siadaj bracie, ot zimno, a macie czem palić?...“ Mówiąc o Rzymie zapytał Adam Lanartowicza, czy zna XX. Zmartwychwstańców, a gdy ten natracił, że niektórzy pomawiają ich o jezuitizm, rzekł:

— „Jezuici!... gdzie tam, ani nawet ekonomy Jezuitów. Ty i wyobrażenia nie masz, co to za perfekcja. Zresztą jakże chcesz, żeby kozak, artylerzysta i hułan byli prawdziwymi Jezuitami; na to trzeba być skrybem. Ks. Jełowicki wykluje, Kajsiwicz porąbie, a ksiądz Piotr dwunasto-funtową będzie podnosił, zniżał, obliczał elipsę, potem wypali i czasem chybi. Przykróść zrobia, ale z dobrej chęci i po służbie.“

Następnie wspomniawszy o wypadkach włoskich podniósł głos i z wielkim bolem zawołał: „Przyjdzie czas, w którym szczęśliwy będzie tylko ten, co będzie w grobie“ a potem jakby w zupełnem rozstrojeniu dodał: Ja znam takiego, co czterem księżom zabije... Jakże głębokim żalem, prawie dreszczem, przejmują nas te i dalsze na str. 36 słowa, do których dodałby jeszcze mistyczną przepowiednię na str. 70: „w lasach litewskich jest taki kąt, którego nigdy stopa wroga nie deptała i na tej ziemi urodzi się przyszły zbawca Polski.“

Widać, jak ta dusza była złamana, jak to serce cierpiało pod naciskiem zawiedzionych całego życia nadziei, jak ten człowiek ciężkie miał życie. Słowa niechętnie o adjunkcie biblioteki w Polsce, który zna tylko książki po okładkach, uważa siebie za Boga, a przynajmniej za świętego Piotra tego nieba z bibuły i kluczami ciągnie go wali — słowa te są dla nas niecałkiem zrozumiałe — tego tylko dojrzeć w nich możemy, że musiało go

bardzo znudzić nieodpowiednie stanowisko bibliotekarza. Wiemy zkądinąd, że sama wzmianka o bibliotece wprawiała go w rozdrażnienie.

O Francyi była mowa kilka razy, i gdy Lenartowicz zauważył, że Napoleon III ma za sobą massy, ale nie dość jest posiadać żywiół, należy jeszcze wiedzieć, co z nim zrobić“ — odparł Adam.

„I on wie, bo to zawsze Napoleon! (Pokazało się, że nie wiedział, dodaje Lenartowicz) Francya to *ouvrier*, rzekł innym razem. Żołnierz francuski jest najlepszym żołnierzem na kuli ziemskiej, ale mu potrzeba idei. Napoleon I. porobił z nich lwów, Ludwik XVIII, Karol X i Ludwik Filip przerobili ich na konie karet królewskich, a Ludwik Napoleon co z nich robi, czy odnowi tradycye wielkiej armii? (I zaprawdę, gdyby był odnowił, nie byłby tak haniebnie upadł). Rządy Ludwika Filipa zniżyły dyapazon Francyi, ale ten naród ma siły olbrzymie i kiedy wlezie w błoto po szyję, to wyskoczy z niego jednym skokiem pod niebiosa; sto tysięcy ludzi rzuci w paszczę śmierci i odkupi się Bogu... Ba, ba nie tak łatwo zabić ten naród!“.

W liście z dnia 2 lipca 1874 opowiada Lenartowicz o chorobie i śmierci ś. p. Celiny. Obraz to rozdzierający serce. Pomińmy już moralne udrczenia, jakie sprawia choroba w domu, a zwłaszcza choroba matki kilkorga dzieci. Jest o wiele straszniejszy jeszcze w takich razach wróg — niedostatek. Czytaliśmy już dawniej w jednym z listów Adama pisanych do żony, że zastawił ostatni zegarek i że już nie ma co zastawiać. A teraz? i teraz nie było zdaje się ani grosza a przynajmniej bardzo mało, kiedy do tego doszło, że jeden z przyjaciół wyniósł jedyną może zbyt kowną rzecz, jaka była w domu największego naszego wieszczą, w domu „jedynego obok Byrona poety naszego wieku“, wielkiego wodza i hetmana dusz, że wyniósł mówię obrazek Dominichina na sprzedaż i — nie sprzedał, bo nie chciano dać nawet trzechset franków! Adam chodził jak z krzyża zdjęty. Doprawdy wierzyć się nie chce — płakać chce się. To jakże! czy nie było już nikogo, ktoby, bogdaj ostatni surdut zastawił, żeby wielki i szlachetny mistrz takiej nędzy nie cierpiał? Byli, byli tacy na szczęście, na pociechę naszą; tak było tylko w chwili, gdy Celina zachorowała i nikt jeszcze o tem nie wiedział.

Autor poświęca gorące słowa obronie czci ś. p. Celiny, którą szarpano wielokrotnie i rozmaicie, zwalając na nią winę nieszczęść Adama i oburza się na płaczki „najemne“, co się nad nim litowały i fabrykowały kolce, a ubliżały wielkiemu sercu tej niewiasty. Miała anielską cierpliwość, mówi, i ciszę taką w duszy, na jaką nie lada heroizm się zdobędzie. Jedyne jej

zadaniem były obowiązki żony i matki. Cierpiała wiele, raz z przyczyn fizycznych, a powtóre z powodu trosk codziennych, obawy i niepokoju o każde *jutro*, na niej bowiem wszystko *przy niepradności* męża w życiu praktycznem polegało“.

Smutne to są sprawy, bardzo smutne. Rozumiemy powódz, które podyktowały autorowi tę szlachetną obronę pani Mickiewiczowej w liście pisanym do jej syna. Nie jesteśmy ani płaczki ani najemne, nie fabrykujemy koleców, bo i tak jest ich dość, nie ubliżamy ś. p. Celinie, o której i z kądinąd wiemy, że była bardzo dobra i bardzo szlachetna, dalecy jesteśmy od przyczytania jej jakiegokolwiek winy, a tembardziej od wydawania sądów o tej, co już dawno stanęła przed sądem Boga, który pewnie i dobrotliwszym jest sędzią i wyrozumialszym dla ludzkich cierpień, niż sędziowie świata tego. Ale jedno przecież powiedzieć musimy i dlaczego nie powiedzieć? Mickiewicz nie powinien się być żenić, przynajmniej nie tak żenić — i kto wie, czyby do tego było przyszło, gdyby nie usłudni przyjaciele, co często chcąc ulżyć, w dobrej woli przyczyniają ciężaru.

Jeszcze gdyby miłość to małżeństwo skojarzyła była — albo gdyby się był z swoją Marylą ożenił! No! nie mielibyśmy jednej części Dziadów, i kto wie zresztą, czy i w takim razie byłby Adam szczęśliwy — ale przynajmniej powiedziećby można: ożenił się z prawdziwej i gwałtownej miłości. Ale w kilkanaście lat potem? gdyż już dawno powiedział, że Danaidom da wszystko prócz serca! Czy na to, żeby był wolny od trosk? — przysporzył ich sobie — Czy żeby był szczęśliwy? — nie był szczęśliwy. — Czy żeby uszczęśliwił? — i to niełatwe dla poety zadanie.

Mickiewicz był smutny, Mickiewicz sponsepniał — co tu zrobić? Rzecz prosta, ożenić go. Ale z kim? Ktoś wspomniał o pannie Celinie Szymanowskiej. Samo imię tej, w której album niegdyś zapisał się był jako pierwszy grenadyr na prawym flanku, tyśiąc wspomnień obulżić musiało w duszy Adama. Przypomniał sobie złote petersburskie kajdany, przypomniał sobie dom pani Szymanowskiej, w którym mu tak dobrze było i tak ciepło, w którym tyle doznawał prawdziwej przyjaźni i pociechy. „Gdyby tu była — ożeniłbym się“. — Słowo rzucone i rzecz skończona. Jeszcze dopóki był profesorem, nie było przynajmniej biedy, ale potem?

Tu żona chora, tu dzieci krzyczą, choć najukochańsze, zawsze krzyczą — a nie ma za co najać obszerniejszego pomieszkania, ażeby się schronić i pracować w jakim kącie spokojnym. Dzieci potrzebują trzewików, sukienek — a tu nie ma czem opędzić wydatków na aptekę i lekarza. Kopertę od zegarka potrzeba zastawić, obraz Dominicina za bezcen sprzedawać.

Tak biedować wolno każdemu z nas, czytelniku miły — ale nieszczęście było i ubolewać można, że się Mickiewicz w ta-

ką biedę pograżył, będąc, jak sam Lenartowicz powiada, *nieporadnym* w życiu praktycznym, a przecież trudno było żądać, żeby był *poradnym*. My dobrze wiemy, że były inne ważniejsze przyczyny jego cierpień. Nie znalazł szczęścia w domu, bo go nie było tam, gdzie było jego serce. Zawody straszne, cierpienia bez granic, klęski publiczne niepoważowane i wypływający z tego wszystkiego mistycyzm, posępnością ogarnęły to wielkie serce a jakby mgłą tę wzniosłą duszę: — ale i troski domowe przyczyniły się do tego, że

Polaty się lzy me czyste rześiste
 Na me dzieciństwo sielkie anielskie,
 Na moję młodość chmurną i górną,
 Na mój wiek męski, wiek klęski
 Polaty się lzy me czyste rześiste.

Lecz przestańmy narzekać — co się stało już się nie odstanie — a kto wie, czy nie na to zsyła Opatrzność cierpienia i ciężkie próby na wielkich, ażeby mali nie skarżyli się i nie szemrali.

Raz jeszcze ożywiły się nadzieje Adama, gdy wybierał się na Wschód, chociaż mówił o nich mało i ciekawych zbywał krótko. Śmierć nie dozwoliła mu doczekać się nowego zawodu, rozczarowań jeszcze boleśniejszych, czasów jeszcze smutniejszych. Ostatnie jego słowa były: Kochajcie się dzieci moje! Obyż się przynajmniej spełniło to ostatnie jego życzenie!

Hugo Zathej.



F
8832

~~Wag. Max. Kommy.~~

~~St. Mary's. Solam.~~